

东

方

观

察

प्राच्यविद्या पत्रिका

مجلة الاستشراق

POLSKIE TOWARZYSTWO ORIENTALISTYCZNE

PRZEGLĄD ORIENTALISTYCZNY

PANSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE

WARSZAWA

KWARTALNIK

3(71)

1969

SPIS TREŚCI

ARTYKUŁY

Ija L a z a r i - P a w ł o w s k a, <i>Mahatma</i>	215
Barbara G r a b o w s k a, <i>Dżajadewa i jego epoka</i>	223
Saleh H. H a m a r n e h, <i>Główne kierunki współczesnej poezji arabskiej</i>	231
Roger L e T o u r n e a u, <i>Aktualny stan badań naukowych w Afryce Północnej</i>	241

UTWORY LITERACKIE

E n d ō S h ū s a k u, <i>Milczenie</i> (fragment), (z japońskiego przełożyła Izabella D e n y s e n k o)	249
<i>Z Księgi Pieśni</i> (z chińskiego przełożyła Marzenna S z l e n k - I l i e w a)	253
Bozorg A l a w i, <i>Woda</i> (z perskiego przełożyła Zofia J ó z e f o w i c z)	257
Memduh Şevket E s e n d a l, <i>Naciągacz</i> (z tureckiego przełożyła Małgorzata Ł a b ę c k a - K o e c h e r o w a)	263

MATERIAŁY I NOTATKI

Bogdan S k ł a d a n e k, <i>Z problemów dialektologii irańskiej w Tadżykistanie</i>	267
Maria Krzysztof B y r s k i, <i>Sanskrycki teatr jednego aktora</i>	270
Mieczysław J. K ü n s t l e r, <i>Uwagi o poezji ludowej z czasów późniejszej dynastii Han</i>	274
Andrzej R ó ż y c k i, <i>O twórczości L. S. Senghora</i>	276
Bogusław Z a g ó r s k i, <i>Występy egipskiego zespołu tańca ludowego</i>	280
<i>75-lecie urodzin Rudolfa Ranoška</i>	282

RECENZJE

Z KSIĄŻEK

<i>Abe Kobo, Kobieta z wydm</i> (Wiesław K o t a ń s k i)	285
<i>Franciszek Machalski, La littérature de l'Iran contemporain</i> (Włodzimierz Z a j ą c z k o w s k i)	287
<i>Pierre Montet, Egipt i Biblia</i> (Albertyna S z c z u d ł o w s k a)	288
<i>Chinua Achebe, Czcigodny kacyk Nanga</i> (Rajmund O h l y)	290
<i>Luce Boulnois, Szlakiem jedwabiu</i> (Mieczysław J. K ü n s t l e r)	292
<i>Н. Н. Коротков, Основные особенности морфологического строя китайского языка</i> (Mieczysław J. K ü n s t l e r)	296
<i>Л. А. Гундин, Язык древнейшего населения юга балканского полуострова</i> (Maciej P o p k o)	297

NOTATKI BIBLIOGRAFICZNE

299

Z CZASOPISM

303

KRONIKA

Z ruchu naukowego na polu orientalistyki

<i>Wyjazdy zagraniczne polskich orientalistów</i>	311
<i>Kronika naukowa</i>	311
<i>Magisteria z zakresu orientalistyki na wyższych uczelniach polskich w 1967/68 r.</i>	312
Kronika kulturalna	
<i>Działalność kulturalna PTO</i>	313
<i>Nowy Zarząd Oddziału Krakowskiego PTO</i>	313
<i>Działalność Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Indyjskiej</i>	314

WODA

... Rzeczywiste życie Iranu poznawał wśród pól i pustyń. Godzinami przesiadywał na przełęczach i pagórkach, patrzył na kamieniste, gorące połacie, pustynie czerwono-fioletowe i drzewa granatu, okrągłe jak piłki, na kawałki pordzewiałego żelastwa i kości zwierząt, wylotowe studnie kanałów, na druty telegraficzne, skrzywione lub połamane słupy. Szum wiatru miał dla niego specjalne brzmienie. W swojej wędrówce mógł słyszeć głosy, jakie tylko zapragnął. Plusk wody, którą jego kochana niania lała mu na głowę z pierwszego stopnia łaźni, głosy płaczących dzieci u sąsiadów, krzyki uczniów szkolnych, którzy mu dokuczali i mówili: „Dżafar nie ma ojca, znaleźli go pod krzakiem”. Świst bata, którym bito go w więzieniu. Czasami wiatr przynosił ze sobą śpiew poganiaczy karawan i odgłos dzwoneczków mułów, jednostajne przyśpiewki pielgrzymów. Mógł leżeć godzinami i wyczarowywać te różnorodne głosy z niczego.

Jedynie głód ściągał go z wyżyn do osiedli. Słońce o zachodzie zamieniało góry w fantastyczne, baśniowe postacie i wydawało się, że otula je jaśniejący błękit i sine plamy chmur, podobnych do atlasowych i jedwabnych kołder. Takie kołdry widział Dżafar w jednym z domów swojego pana i gdy tylko słońce miało się ku zachodowi nad wyschniętymi ziemiami Iranu, zawsze je sobie przypominał. O tej wieczornej porze suche pustynie bez jednego źdźbła trawy i cała ziemia przybierała swój prawdziwy, utajony wygląd, a świat zamieniał się w bajkę. Każda skała, każdy kamyczek, każde wzniesienie, każdy głos, o tej porze wszystko nabiera życia. Wszystko zaczyna się poruszać, odsłaniając ukryte tajemnicze kwiaty. Niebo, jak turkusowa czasza wysadzana klejnotami, osłania ten bajkowy świat przed złym okiem. Gdybyż to było możliwe, by Dżafar nie siedział w więzieniu! Gdybyż nie było tej bezimiennej konieczności, która czasami pchała go gdzie chciała, a on musiał jej słuchać! Czasami, gdy stawała się zbyt silna, musiał uciekać w pustynie południowo-wschodniego Iranu.

Dżafar lubił ludzi, których poznawał na pustyniach. Poganiaczy koni i wielbłądów, pastuchów, szoferów, żandarmów, robotników, właścicieli zajazdów, derwiszów, włóczęgów pustyni. Dżafar poznawał ich przy źródle, na zielonych ścieżkach, w chłodnych wąwozach, w lasach i zajazdach. Kilka dni, kilka nocy lub kilka godzin, a potem rozchodzili się i nigdy się już nie spotykali. Wszyscy byli prawdziwi, byli dobrzy lub źli, byli tacy jacy byli. Człowiek zresztą nie miał czasu zagłębiać się w badaniach ich duszy.

Natomiast człowiek nigdy nie może poznać ludzi z miasta. Latami może utrzymywać z nimi bliskie stosunki towarzyskie, może znać różne strony ich życia, postępowanie w ciężkich sytuacjach, a mimo to zdarza się, że ten sam człowiek dopiero w obliczu jakiejś nieprzewidzianej sytuacji, gdy chodzi o pieniądze, o żonę, okazuje swój

prawdziwy charakter, unosi od lat zapuszczoną przyłbicę i odsłania oblicze bez jaśniejącej, sztucznej maski.

Gdyby nie było Masumeh, gdyby nie oczarowały go jej jasne włosy, miła buzia, piwne oczy, różowe policzki... Dżafar nie pozostałby w tym mieście i dzisiaj nie siedziałby w więzieniu. Przedtem też siedział w więzieniu, lecz wówczas był pewien, że wieczór po wyjściu na wolność spędzi w zajeździe, lub jakim *emamzadeh*¹. Ale tym razem nie miał pewności, że będzie mógł patrzeć prosto w słońce i znosić jego żar. Było oczywiste, że jeśli nawet uda mu się wyrwać ze szponów żandarmów i zza żelaznych krat, to nie zdoła wyzwolić się spod czaru oczu Masumeh.

To była wina Masumeh, że dzisiaj siedzi w więzieniu. I do tej pory nie udało mu się wydobyć od żadnego z tych niemych żandarmów, którzy nie rozumieją ludzkiego języka, dlaczego nie oddano mu jego rzeczy, przyniesionych z domu. Chciał wiedzieć, czy Masumeh jeszcze o nim myśli?

Było południe. Ciągle jeszcze padał deszcz. Od wczorajszego wieczora do tej pory lało bez przerwy. To ten deszcz kazał Dżafarowi wspominać tamte suche i gorące dni, które spędził na pustyniach między Gom a Isfahanem. Tam za kroplę wody oddaje się życie!

Gdyby tamtemu roslemu wieśniakowi, ubranemu w niebieski kaftan, dano wody godzinę wcześniej, może by nie umarł. Nigdy chyba nie zapomni cierpiącej twarzy wieśniaka, który pracował przy szosie między Gom i Isfahanem, w pobliżu Dalidżan. Rzekłbyś, że stworzono go z kilku razem sklejonych grud. Czoło niczym kamienna patelnia, było chropowate. Oczy miał małe i osłaniały je długie, żółte, spalone rzęsy. Miał na sobie długą lnianą koszulę, która dochodziła mu do kolan, a nogawki spodni z niebieskiego materiału były tak szerokie, że tworzyły jedną linię z koszulą. Gdy umierał, patrzył prosto w słońce. Widać było, że nie reagował już na palące promienie i na rażący blask. Oczy miał spalone, jedynie język poruszał się, jakby mówił: „Wody, wody”! Osioł wieśniaka w odległości dziesięciu kroków drapał swoje grube wargi o kolczasty krzak. Dżafar, oddalony na długość dużego placu, leżał w cieniu głazu, przyglądał się tej scenie i zapytywał sam siebie, jak ten wieśniak może leżeć w taki upał, na rozpalonym żwirze i dlaczego puścił osła samopas? Gdyby nie zauważył osła, możliwe, że nie zwróciłby uwagi na jego właściciela. Dżafar był przyzwyczajony do takich widoków. To byli robotnicy drogowi, którzy — wykończeni upałem — kładli się na jakiś czas, by odzyskać siły.

Jednostajny jęk wiatru działał usypiająco i tylko ryk osła, wzywającego pomocy, był czymś nie do zniesienia. Dżafar nasunął na oczy okrągłą czapkę, którą dostał od *achunda*², w nadziei, że w ten sposób odwróci swoją uwagę od pół żywego ciała wieśniaka, lecz „żyłka” poszukiwacza przygód pchnęła go do działania. Życie Dżafara składało się z łańcucha różnorodnych zdarzeń i za każdym razem wahał się i musiał wybierać między lenistwem i gnuśnością, a czynem i działaniem. Może też, gdyby wieśniak był sam, wybrałby chłód cienia pod głazem i bez żadnych wyrzutów sumienia zostawiłby

¹ E m a m z a d e h — dosł. potomek imama, grobowiec imama, miejsce święte; w tym wypadku również miejsce spotkań.

² A c h u n d — stopień wyższy od mułły.

go śmierci. Jednakże głupie spojrzenia osła, których znaczenie było oczywiste, poruszyły jego serce i pomyślał: „Wyciąga w górę swoje grube, zwisające wargi i oślim językiem wypowiada swój ból”. Może też obecność osła wzbudziła w nim chciwość? Wstał i zaczął iść w kierunku wieśniaka. Poznał go z odległości stu kroków. Był to Taher Nezam Abadi, który nocami krążył wokół swojej rodzinnej wsi. Robotnicy mówili:

— Czeka na sposobność porwania Maniżeh, córki *kadchoda*³, by potem uciec w górną wieś —. Przez długie miesiące wieśniacy i robotnicy śmiali się na widok jego ospowatej twarzy. Nawet żandarmi i Maśhadi Radżab *gahweci*⁴ przekomarzali się z nim.

Miał twarz jakby ulepioną z gliny. Leżał na ziemi. Wyglądał jakby go oblano wodą i glina odmokła odstając. Gdy Taher zauważył Dżafara poruszył się, lecz nie miał już siły wypowiedzieć: „wody”! Dżafar dobrze znał Tahera. Kiedyś spędzili całą noc w *gawehchaneh* Maśhadi Radżaba. Taher chrapał i nie dawał innym spać, chociaż klaksony ciężarówek też się do tego przyczyniały. Gdzieś po północy przyjechało do zajazdu kilku szoferów z pomocnikami. Jeden z nich obudził Tahera i zapytał go:

— O! Taher! Jak się miewa Maniżeh?

Szofer z pomocnikiem wypili herbatę, naprawili dętkę samochodu, która nawaliła i odjechali, lecz Taher już nie mógł zasnąć. Dżafar zapytał:

— O! Taher! Czy to prawda, że jesteś zakochany w Maniżeh?

Młody człowiek odrzekł:

— Daj spokój, pozwól mi spać. Oni się cieszą, bo są już blisko swoich domów, więc chcą się cieszyć. Skąd Maniżeh? Zresztą obecnie Maniżeh ma już dziecko!

Dżafar spytał:

— Z kim ma dziecko?

— Skąd ja mam wiedzieć? Mnie przecież tam nie było. Za grzech odpowiada ten, co zgrzeszył. Przecież mnie już nie wpuszczają do wsi. Wójt powiedział, że jeśli mnie tam zobaczy, to rozbije mi łeb laską.

Dżafar zapytał:

— Ależ, dlaczego?

— Nie ma „dlaczego”. On jest wójtem, jest starszym wsi. Ma władzę. Jeśli by nie miał władzy, nie wygnałby mnie z mojej ziemi i wody, teraz ziemia i woda są bezpieczeństwa.

Maśhadi Radżab *gahweci* przekreślił się z jękiem i słychać było chrzęst jego kości, jakby się łamały i za chwilę miały rozsypać, po czym przez chwilę zapanowała cisza.

— Czy ty nie masz nikogo bliskiego? — spytał szeptem Dżafar, by nie obudzić innych.

— Nie, sołtys Abbas Ali był naszym starszym. Było nas trzech braci. Niech kara boska spadnie na tych, co tak opowiadają! Sołtys moich młodszych braci uśmiercił. Mówią, że jednemu, gdy był jeszcze niemowlęciem, wrzucał do buzi zawiązaną w chusteczkę kostkę cukru i opium. Cukier uderzał tak długo w podniebienie, aż go zabił.

³ *K a d c h o d a* — wójt.

⁴ *G a h w e c i* — właściciel *g a w e h c h a n e h*, w tym wypadku zajazd.

A drugiego, mówią, nie udawało mu się zabić w żaden sposób, wreszcie pewnego dnia wbił mu igłę w ciemię.

— Czyż on oszalał?! Czemu zabijał dzieci?!

— Ojciec ustanowił Mollę Abbasa Aliego naszym opiekunem. Tak, no i on nie chciał, żeby nas było trzech. W końcu dwóch przestało istnieć. A mój los stał się właśnie taki.

— Jaki?

— Taki, jaki widzisz. Aga Reza Chan przyjechał do wsi i brzuch Maniżeh urósł, a całą winę zrzucono na mnie. Mówili, że gęsi nawet o tym gęgały. Potem zaś Aga Reza Chan powiedział: — „W ogóle nie chcę, żeby on był w Nezam Abadzie”. Nie pomogło chodzenie od drzwi do drzwi. Nikt nie chce mnie słuchać. Więc wziąłem swego osła i idę. „Oddajcie mi chociaż moją krowę” — mówię. Nie dają!

Dżafar zapytał:

— Kto to taki, Aga Reza Chan?

— Właściciel, pan Nezam Abadi.

Całą tę rozmowę Dżafar pamięta i do tej pory może ją powtórzyć dokładnie, bo kilka razy musiał opowiadać ją śledczym. Nawet, gdy śledczy usiłował wykręcić i zammatwać, on zawsze odpowiadał tak samo.

Gdy zobaczył pianę na ustach Tahera zastanowił się, czy można mu pomóc? Chwilę się zatrzymał i pomyślał, czy ta pomoc się na coś przyda. Potem wziął osła za uzdę i ostrą kością ukłuł go, popędzając na szosę. Każdy ruch osła był ogromnym wysiłkiem, lecz Dżafar nie myślał o osle. Chwilę zatrzymał się na szosie. Przypominał sobie i powtarzał historię wieśniaka.

Robotnicy drogowi mówili:

— Przesadził mur domu wójta, potem podsadził Maniżeh i obydwójce spędzili noc w szkółce drzew. Wczesnym rankiem, gdy Maniżeh chciała wrócić do domu, gęsi zaczęły gęgać i... wszyscy mieszkańcy wioski wiedzieli...

Wójt powiedział Taherowi:

— Jeśli zobaczę cię w tej okolicy, rozłupię ci pałką łeb.

Z tego też powodu Taher w dzień pracował jako robotnik drogowy, a nocą krążył wokół wsi. Tak bardzo był wycieńczony, że nadzorca robotników nie chciał go zatrudnić. Dżafar mógł sobie wyobrazić, co będzie, jeśli Taher nie będzie mógł dostać wody.

Jeśli będzie leżał z dala od szosy, po kilku dniach stanie się dobrym żerem dla zwierząt, żywiących się padliną. Kiedyś Dżafar widział, jak wydierały oczy trupa, nim zabrały się do wyciągania jego trzewi. Dżafar wyobrażał sobie swój koniec podobnie. Nigdy nie mógł pogodzić się z myślą, że miałby umrzeć w więzieniu.

Dżafar się niecierpliwił. Parę razy przychodziło mu na myśl, żeby zostawić Tahera i odejść. Co go to obchodzi, dziennie umierają tysiące takich wieśniaków. On sam też umrze. Co go to obchodzi? Lecz samo to, żeby na wpół żywego wieśniaka zostawić i odejść, wymagało decyzji, a Dżafar nie łatwo się na coś decydował. W końcu puścił osła przy brzegu szosy, zdjął podartą, wierzchnią suknię Tahera i położył mu ją pod głowę. Taher myślał, że chce mu podwiązać brodę i szczękę, przestraszył się i powiedział:

— Nie odchodź, nie odchodź, ja nie chcę umierać.

— Poczekaj! Kto mówi, żebyś umierał? Nie umieraj, aż ja wrócę, pójdę przynieść ci wody.

Kiedy dotarł do zajazdu Maśhadi Radżaba, ten wyciągnął swoje długie, chude, żółte ręce takiego samego koloru jak twarz, zdjął z przymurówki dużą wazę ulepioną na wzór starych naczyń, podał mu i powiedział:

— Czemu pijesz wodę z dzbanka, weź czarę.

Jak wszyscy opiumiści, Maśhadi Radżab miał czysty i bezbarwny głos, przyjemny dla ucha. Maśhadi Radżab był wysoki i rozrośnięty, skórę miał pomarszczoną i żółtą. Wszystkie jego ruchy wydawały się miękkie i wyważone. Od stóp do głów Maśhadi Radżab składał się z worka żółtej skóry, do której wrzucono kości. Gdy siadał i kładł ręce na kolanach widać było, że ręce od przegubu zwisają w dół, jak wąskie woreczki pełne drobnych kości. Maśhadi Radżab nie mógł uwierzyć, by leniwy Dżafar mógł przebyć na osle dwa *farsachy*⁵ drogi w takim żarze tylko po to, by bliskiemu śmierci wieśniakowi przynieść dzban wody. I gdy zobaczył, że Dżafar wziął dzban, zamyślił się i zrozumiał, że ten uczynek nie pozostanie dla niego bez korzyści.

Gdy Dżafar wsiadał na osła, powiedział:

— Zaraz zwrócę dzban, ktoś tam leży przy brzegu szosy, jest umierający. Dam mu wody i wrócę.

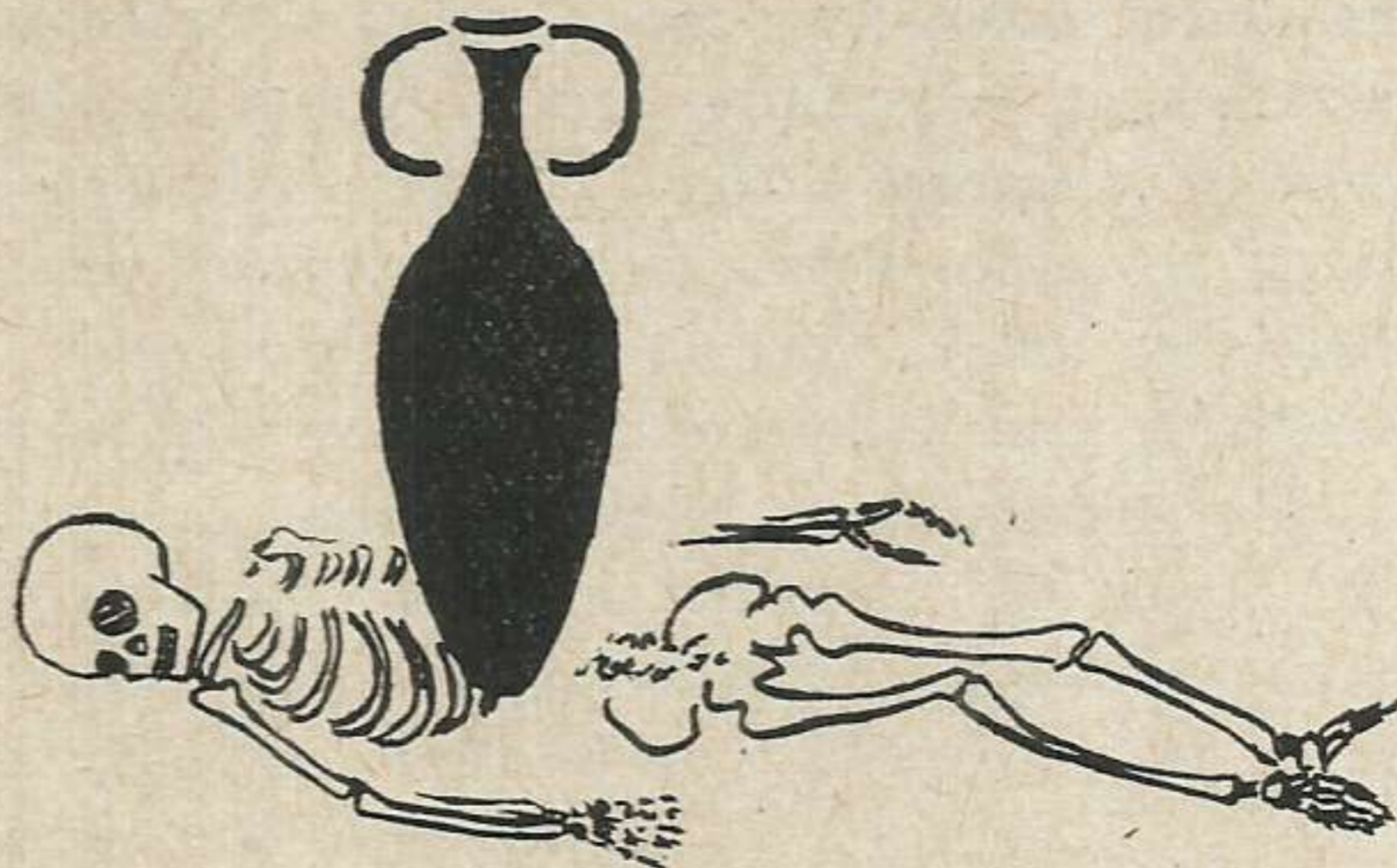
Kiedy dotarł do Tahera, było już dwie czy trzy godziny po południu. Żar zwęglił twarz Tahera. Dżafar chciał położyć jego głowę na swoich kolanach, by wlać mu wody do gardła. Lecz ciało było już sztywne. Nie przestraszył się. Tak jakby chciał, by tak się stało. Chwilę patrzył na wygasłe już oczy zmarłego. W tym czasie nadjechał duży samochód, kremowy buick, który jechał z Isfahanu w stronę Teheranu. Na widok Dżafara, nieruchomego z dzbanem w ręku, zatrzymano samochód. Odsunięto szybę.

Jakiś głos zapytał:

— Co się stało?

Szofer odpowiedział:

— Zdaje się, że umarł.



⁵ Farsach albo farsang — odległość około 6 km.

Jakaś kobieta powiedziała:

— Biedaczysko!

Samochód dodał gazu i odjechał. Wydawało się, że rykiem motoru pasażerowie odżegnawali się od śmierci. Dżafar, nie popatrzwszy na nich, wylał dzban wody na twarz i pierś zmarłego wieśniaka. Potem rzucił dzbanem o ziemię, tak że skorupy rozprysły się wokół. Nie dlatego, że śmierć wieśniaka zasmuciła go, nie dlatego, by zmanifestować swój protest. Pomyślał, że dzban wody nie ma już znaczenia i nie musi istnieć, bo już do niczego się nie przyda.

Osiół najpierw lizał skorupy, potem podszedł do swojego pana, powąchał go i zlizął z niego wodę, po czym stał kilka chwil bez ruchu...

Z perskiego przełożyła
Zofia Józefowicz